

Tyrania i śmierć [FELIETON]

Nikt rozsądny nie da dziś głowy, że na skutek własnego błędu miński tyran nie będzie w końcu musiał uciekać do Rosji. Ale to może się zdarzyć dopiero wtedy, gdyby na serio poczuł widmo grożącej mu śmierci – pisze Jan Rokita w kolejnym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Żeby usunąć tyrana trzeba go zabić. Tak w każdym razie uważali Ateńczycy z epoki klasycznej, dla których bohaterami i obrońcami ojczyzny stali się piękny Harmodios i jego kochanek Aristogejton – mordercy tyrana Hipparcha. W kolekcji rodziny Farnese, która za sprawą Karola I Burbona zawędrowała do muzeum neapolitańskiego, znajduje się rzymska kopia zachwycającego pomnika, jaki lud ateński ustawił w centrum agory ku czci tyranobójców. Co ciekawe, w czci dla nich Ateńczykom nie przeszkadzała wiedza (potwierdzona później m.in. przez Arystotelesa), iż bezpośrednim impulsem dla zamachu nie była polityka, ale zawiedziona miłość homoseksualna. Dla wspólnoty istotny był polityczny skutek morderstwa, a nie jego prywatne motywy. Trzeba przyznać, iż pogląd Ateńczyków na kwestię sposobu likwidacji tyranii był pragmatyczny oraz wyzbyty złudzeń. I nie wynikał bynajmniej z jakiegoś okrucieństwa epoki, ale raczej z politycznego rozumu, świadomego, iż po pierwsze – żywy tyran będzie bronić swej władzy kosztem niewinnych ofiar, a po drugie – nawet obalony, będzie czy to w kraju, czy na wygnaniu, spiskować przeciw swej ojczyźnie. Zresztą taki pogląd na obalenie tyranii nie jest bynajmniej jakoś specyficzny dla pogańskiego antyku. Jak dobrze wiadomo, zabójstwo tyrana moralnie dopuszcza praktycznie cała polityczna teologia chrześcijańska, ze św. Tomaszem z Akwinu na czele. Tak samo zresztą sądzi Szekspir, każący wątlęmu psychicznie Hamletowi zmierzyć

się z wyzwaniem tyranobójstwa, albo (w polskiej tradycji) Słowacki, który mord na śpiącym tyranie i uzurpatorze polskiej korony czyni obsesją swojego Kordiana.

*To, co naprawdę mnie zdumiało,
to fakt jak prędko i łatwo w
Polsce uznano, że polityczne losy
mińskiego tyrana nieuchronnie
już się dopełniają na naszych
oczach*

Neapolitański pomnik tyranobójców stanął mi przed oczami, gdy w sieci obejrzałem filmik wypuszczony przez białoruską propagandę, pokazujący scenę, jak miński tyran wysiada z helikoptera i uzbrojony

w kałasznikowa podąża do swego opustoszałego pałacu, pod który milicja nie dopuściła zrewoltowanych tłumów. Scena mająca dać mocny sygnał, iż kontestowany przez tłumy autarcha nawet nie myśli o rezygnacji z władzy. To bowiem, co naprawdę mnie zdumiało, to fakt jak prędko i łatwo w Polsce uznano, że polityczne losy mińskiego tyrana właśnie się nieuchronnie już dopełniają na naszych oczach. To że tak uznali jak zawsze podnieceni dziennikarze, nadmiernie mnie nie zdziwiło; oni od dawna nie dostarczają racjonalnych analiz politycznych, a ich misją jest uczuciowe pobudzanie opinii publicznej. Ale uczuciom owym ulegli nawet tak świetni analitycy, jak prof. Przemysław Żurawski vel Grajewski, ni stąd ni zowąd oznajmiający w Polskim Radiu, iż miński tyran „nie ma już żadnych szans, żeby utrzymać się u władzy”. Co natomiast szczególnie ciekawe, to fakt, iż sam zainteresowany ma w kwestii swego odejścia pogląd nie tylko racjonalny, ale rzekłbym – całkiem klasyczny. Wart jest przywołania *in extenso* niedoceniany dialog tyrana z robotnikami, jaki miał miejsce 16 sierpnia podczas wiecu w Mińskiej Fabryce Ciągników Kołowych. „Mówicie o niesprawiedliwych wyborach i chcecie przeprowadzić sprawiedliwe?” – pytał jedynowładca robotników. A na

okrzyki: „tak!” odpowiedział całkiem jasno: „Przeprowadziliśmy wybory. Dopóki mnie nie zabijecie, nie będzie innych wyborów”. Trudno zaiste o bardziej precyzyjne zdefiniowanie sytuacji u naszego zabużańskiego sąsiada.

*Z perspektywy samodzierzcy nie
można zrobić głupszej rzeczy,
aniżeli dać zbuntowanemu
ludowi poczucie bezpieczeństwa*

Tak, to prawda, że białoruski autarcha popełnił pewien błąd, który nieco go osłabił. Skądinąd zresztą błąd typowy dla tyranów, którzy zaczęli obawiać

się skutków ludowej rewolty przeciw swojej władzy. Kiedy mianowicie w ciągu pierwszych trzech dni po sfalszowanych wyborach udało mu się niemal spacyfikować sytuację przy pomocy sprytu i szantażu (wypędzenie rywalki z kraju), oraz „miękkiej przemocy” (bicie i aresztowania, bez strzelania do tłumów), zrobił coś, co fałę ludowego protestu nieoczekiwanie wzmogło do setek tysięcy uczestników. Przeląkł się kilku spektakularnych zrad wyższych funkcjonariuszy reżimu i wojowniczych kazań paru prawosławnych biskupów (katolickich się nigdy nie obawiał), zrzucił winę za represje na swego szefa MSW, sam zaś kazał wypuścić aktywistów z więzień i zdjąć z ulic bojowe oddziały milicji. Było to niemal jak zaproszenie do masowego ludowego pikniku przeciw tyranii, który też nastąpił w ciągu następnych dni. Z perspektywy samodzierzcy nie można zaiste zrobić głupszej rzeczy, aniżeli dać zbuntowanemu ludowi poczucie bezpieczeństwa. Ten straszny błąd sprawił, iż pacyfikacja ludu jest teraz o wiele trudniejsza, będzie musiała dłużej trwać, a przede wszystkim może wymagać znacznie ostrzejszych metod, niżli dotychczasowa „miękka przemoc”. W takiej sytuacji nikt rozsądny nie da dziś głowy, że na skutek własnego błędu miński tyran nie będzie w końcu musiał uciekać do Rosji. Ale to może się zdarzyć dopiero wtedy, gdyby na serio poczuł widmo grożącej mu śmierci. Tak się zdarzyło sześć lat temu z innym postsowieckim tyranem w Kijowie; ten jednak

zrozumiał, że lud do którego kazał strzelać snajperom, zbliża się już do bram jego pałacu z jasnym, tyranobójczym zamiarem. Tymczasem mińskiemu tyranowi śmierć wcale nie zajrzała jeszcze w oczy.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”